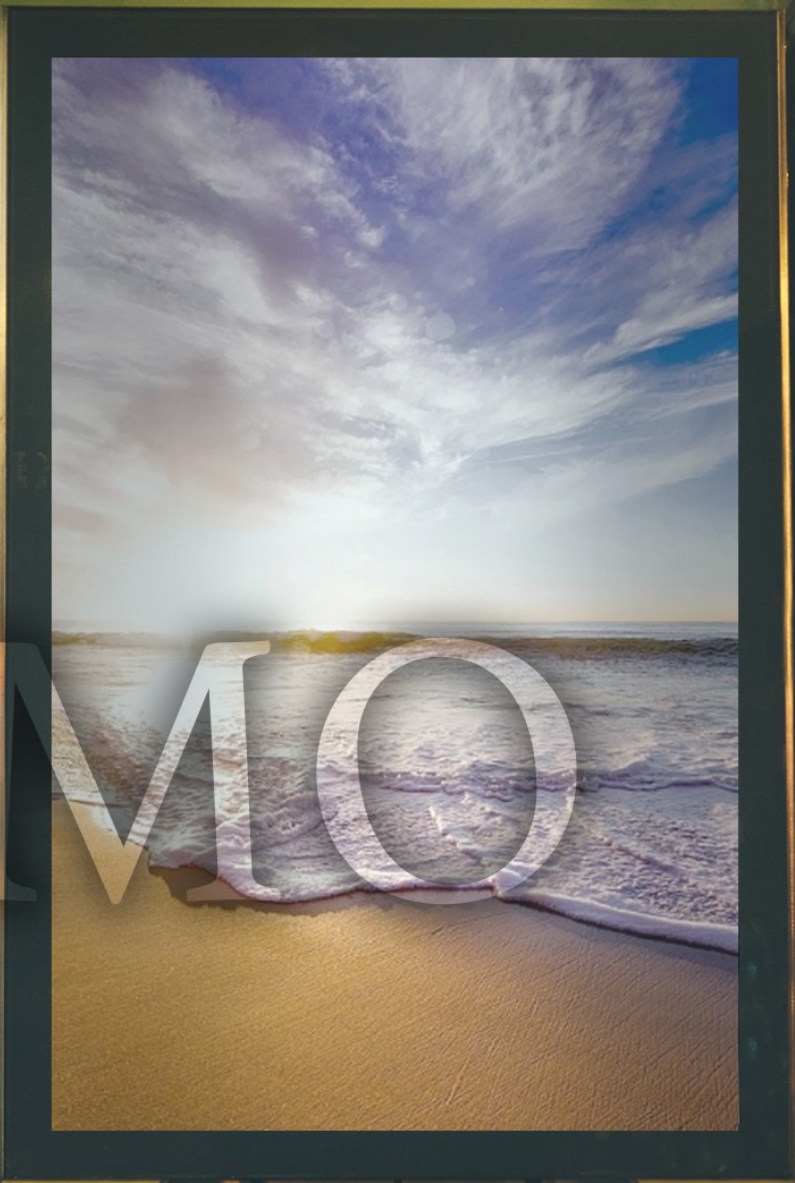


MACIEJ ŚLUŻYŃSKI

# SPRZEDAWCY MARZEŃ



RW2010

MACIEJ ŚLUŻYŃSKI  
SPRZEDAWCY MARZEŃ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2020

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wiczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Tomasz Piec 2020

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński

Zdjęcia na okładce © Mirko Macari / iana\_kolesnikova

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2020

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-242-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

## Rozdział pierwszy: Mój pierwszy raz

Stałam w progu, zmarznięta, przejęta i lekko wystraszona. Agencja reklamowa – te słowa budziły we mnie respekt. I ciekawość. Rozglądałam się dyskretnie na wszystkie strony, czekając cierpliwie, aż zostanę zauważona.

Czekałam, czekałam...

I nic.

Zniecierpliwiona, wbiłam wzrok w czyjeś plecy. Stojąca tyłem do mnie brunetka plotkowała z kimś, kto siedział za typowym sekretarskim biurkiem z wysoką nadstawką. Do moich uszu doleciał fragment rozmowy:

– ...wtedy ta cała pani prezes brodą pokazuje na Guru, ale mówi do szefa Stasia:  
– tu brunetka zmieniła głos na nosowy i wyniosły: – „Nie podobają mi się maniere tego pana”.

– Coś ty! – wtrąciła osoba, której nie widziałam, bo skrywała ją rozgadana koleżanka.

– Ale uważaj to! Guru się roześmiał i powiedział niby do niej, ale tak żeby wszyscy słyszeli: „A to się nawet dobrze składa, bo moje maniere nie są na sprzedaż”.

– Szok!

– Prezeskę też zamurowało, a Guru stał tam i uśmiechał się po swojemu.

– Usadził ją.

– Oblaskawił. Bo wreszcie zmiękła, też się uśmiechnęła, wyobraź sobie, i podała mu rękę. A ten ją normalnie pocałował. W rękę!

Anegdota była niezła, ale nie przyszedłam tu słuchać plotek, tylko do pracy, więc zrezygnowałam z dyskrecji i chrząknęłam dwa razy.

Gaduła odwróciła się jak fryga – w jej oczach dostrzegłam zaskoczenie i cień paniki. Jednak na mój widok natychmiast się uspokoiła, a wyraz jej twarzy zmienił się na bardziej surowy, by nie rzec nieprzyjazny.

– Proszsz... – wycedziła przez zęby i odsunęła się nieco. Wtedy dopiero dostrzegłam kobietę, z którą rozmawiała. Ta uśmiechnęła się do mnie promiennie, jakbym była jej dobrą znajomą.

– W czym mogę pomóc? – zapytała miłym głosem. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ona ma zawsze miły głos.

– Ja w sprawie umówionego spotkania – powiedziałam zdecydowanie i mocno. Słyszałam, że tak trzeba mówić, aby dodać sobie znaczenia i powagi. Chyba podziało.

Sekretarka nawet nie spojrzała w bok, gdzie za nadstawką zapewne stał monitor komputera, na którym mogłaby sprawdzić terminarz.

– Emilia Rafińska, spotkanie o dziewiątej trzydzieści, prezes Suchański, piętro pierwsze – wyrecytowała. – Zdaje mi się, że jest pani ciut za wcześnie.

– To źle? – spytałam ostrożnie.

Znow się uśmiechnęła.

– Ciut za wcześnie to akurat na czas – odparła sentencjonalnie, po czym dodała:

– Niech pani spocznie, rozdzieje się i w ogóle. Zaraz sprawdzę, czy może pani wejść na górę.

Pstryknęła jakimś guzikiem i powiedziała w powietrze:

– Szefie, jest pani Rafińska... Tak, ma jeszcze dziesięć minut... Tak, dobrze...

– Sekretarka urwała i zwróciła się bezpośrednio do mnie: – Proszę panią na górę. Płaszcz może pani powiesić tutaj, na wieszaku. Bardzo zimno dzisiaj, prawda? Lena pokaże drogę. – Ręką wskazała trochę na mnie, trochę na dziewczynę, z którą plotkowała, a trochę na klatkę schodową po swojej lewej stronie. Kiedy się obróciła, dostrzegłam w jej uchu małą słuchawkę.

– Chodźmy – rzuciła w przestrzeń Lena z miną seryjnej morderczyni i ruszyła z kopyta, jak klacz spięta ostrogą.

Pokłusowałam grzecznie za nią.

Wspięliśmy się po szerokich schodach na pierwsze piętro kamienicy. W oknie na półpiętrze zauważyłam oryginalny witraż; nie przedstawiał niczego konkretnego, ale przyciągał wzrok. Dwa razy się obróciłam, by na niego spojrzeć.

Dół budynku został tak przebudowany, że wyglądał jak jedno duże pomieszczenie. Na górze było już zwyczajnie – mały hol i drzwi do różnych pokoi, wszystkie takie same: drewniane, solidne i ładne. Schody pięły się jeszcze wyżej i chyba znajdował się tam drugi witraż. Niestety nie mogłam sprawdzić, czy równie abstrakcyjny i intrygujący jak pierwszy, bo moja przewodniczka skierowała się do pierwszych drzwi po lewej stronie i energicznie szarpnęła za klamkę. Weszła przodem i zaanonsowała mnie grobowym tonem:

– Szefie, to ta, co miała przyjść.

Wsunęłam się za nią, onieśmielona. Co innego sekretarka lub jakaś niesympatyczna laska, a co innego sam prezes. W końcu to od niego zależało, czy dostanę tę pracę. Dziewczyna zrobiła nagły w tył zwrot i stanęłam oko w oko z mężczyzną koło czterdziestki, śniadym brunetem, szpakowatym na skroniach, ubranym w szykowny garnitur, stylową koszulę i świetnie dobrany krawat. No w ogóle cały był elegancki i ładnie pachniał. Chyba Cool Water Davidoffa, ale nie byłam pewna, bo stałam trochę za daleko. Z jego twarzy biła jakaś taka serdeczność i dobroduszość, że cała trema, która włąziła we mnie wraz z każdym stopniem schodów, aby dojść do gardła tuż przed drzwiami – stopniała. W duchu odetchnęłam z ulgą.

– Dzięki, Lena – powiedział mężczyzna, a dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła. Nie sądziłam, że umie się uśmiechać tak sympatycznie, ale w końcu znałam ją ledwie parę minut.

– Stanisław Suchański – przedstawił się. – Witam, pani Emilio.

Wstał zza biurka, obszedł je dookoła i wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu swoją, ciekawa, czy weźmie się za obcałowywanie, ale tylko uścisnął lekko moją dłoń i szerokim gestem wskazał jeden z dwóch foteli stojących pod ścianą. Rozdzielono je niskim stolikiem; pod blatem dostrzegłam filiżanki, cukier, jakieś ciastka, a na wierzchu stał ekspres.

– Napije się pani kawy teraz czy zaczekamy na pozostałych? – spytał, kiedy usadowiłam się w nowoczesnym z wyglądu, ale dość wygodnym fotelu. Nieco się w niego zapadłam, więc pochwaliłam się w duchu za założenie gustownego spodnium zamiast typowej garsonki. Walczyłabym teraz ze spódnicą, podjeżdżającą za wysoko. Poza tym spodnie bardziej pasowały do zimowych botków.

– Zaczekajmy – zgodziłam się łaskawie, jakby coś tu ode mnie zależało. Założyłam nogę na nogę. Kolejny plus szerokich spodni z materiału; choć zaprasowane w kant, pozwalały na swobodę, bez utraty oficjalności.

– Jest pani jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu w CV – usłyszałam.

– To chyba nie wada? – odparłam lekko kokieteryjnie, ignorując walące jak młotem serce.

Energicznie zamachał rękami.

– Ależ nie, skąd, oczywiście, że nie!

– W takim razie potraktuję to jak komplement.

– Który ma pełne pokrycie w rzeczywistości – dodał szarmancko.

Zrobiło mi się miło. Kurczę, facet umiał rozmawiać z kobietami. Chyba nawet się zarumieniłam, bo nagle spojrzał gdzieś w bok, jakby nie chciał mnie bardziej peszyć. Drugi punkt dla niego. A ty się opanuj, dziewczyno, ofuknęłam samą siebie.

Wstał i wrócił za swoje biurko. Odprowadziłam go wzrokiem, więc wyjaśnił:

– Ja tylko po swoje notatki.

Złapał z blatu jakieś papiery i natychmiast wrócił do stolika. Siadł na drugim fotelu. Zerknęłam. No tak, moje CV. Usiane uwagami zapisanymi drobnym maczkiem. Co znaczyło, że zostało uważnie przeczytane. Doszłam też do wniosku, że skoro sam

prezes poświęcił tyle czasu na zrobienie na nim swoich notatek, to chyba są zainteresowani. Punkt dla mnie.

– Lubi pani rozmawiać? – spytał nagle.

– Ale w jakim sensie? – Zamrugałam nerwowo oczami.

– W jak najbardziej ogólnym. Po prostu pytam, czy pani lubi rozmawiać z innymi ludźmi.

– Prawdę mówiąc, to chyba wolę słuchać.

– Jesteś panem swoich myśli i niewolnikiem słów wypowiedzianych – mruknął pod nosem.

– Raczej panią – sprostowałam. – Ale tak, chyba o to chodzi. Bo nie jestem specjalnie nieśmiała.

– A czemu chce pani pracować w agencji reklamowej?

Zawahałam się. Wyznać prawdę czy wstawić bajer? Postanowiłam zacząć od wersji, którą sobie pierwotnie zaplanowałam, przygotowując się do rozmowy kwalifikacyjnej.

– Lubię wyzwania, pracę w kreacji, wymyślanie haseł i nigdy podczas oglądania reklam w telewizji nie przełączam kanałów.

Mina mu zrzędła. Chyba nie tędy droga, pomyślałam nerwowo.

– A tak naprawdę – błyskawicznie zmieniłam koncepcję – po prostu szukam jakiejś pracy, jakiegokolwiek, i uznałam, że tu może być dość ciekawie.

Oho, rozchmurzył się, czyli kolejny punkt dla mnie.

– Zatem nie pracowała pani nigdy w agencji reklamowej? – upewnił się.

– Nigdy i wiem, że to może stanowić przeszkodę w zdobyciu tej pracy. Ale bardzo szybko się uczę i jestem ambitna. – Miałam ochotę uderzyć się w pierś, ale uznałam, że to by była przesada.

Usiadł głębiej w fotelu. Zanim zdążyłam doliczyć albo odjąć sobie następne punkty, rozległo się pukanie.

– Proszę.

Do pokoju wsunął się niski, grubawy mężczyzna, w dżinsach i czarnym, grubo dzierganym swetrze z golfem.

– Wpół do, to jestem – wymamrotał.

– Właż, właż i poznaj...

– Cześć. – Wyciągnął do mnie rękę i uściśnął mi dłoń wyjątkowo delikatnie.

Lekko przetłuszczone i zdecydowanie za długie ciemnoblonde włosy opadły mu przy tym na czoło, ale ich nie poprawił.

Odwzajemniając nieśmiały uścisk, okrasiałam go promiennym uśmiechem.

W odpowiedzi uciekł oczami w bok, zaszurał nogą i coś tam zamruczał pod nosem.

– Andrzej Feldmann, drugi prezes, dyrektor administracyjny i finansowy – wyjaśnił mój gospodarz.

Przyznam, osłupiałam.

– Sprawy personalne również? – zapytałam.

– Tak – odparł Feldmann. – Ale ja nikogo nie przyjmuję do pracy. – Facet błędnie wyczuł moje obawy. – Ja zwalniam – dodał ponurym tonem.

– Weź nie strasz dziewczyny, dobrze? – wmieszał się „elegancki” prezes.

– Oswajam ją od dziesięciu minut, a ty od razu o zwalnianiu. Tak z grubej rury, tak obcesowo... – Mrugnął do mnie. – Spokojnie, my się po prostu tak przekomarzamy.

– Aha. Zatem postaram się nie wpadać w panikę – bąknęłam, a mój uśmiech chyba wypadł blado, bo pospieszył z propozycją.

– To może jednak tej kawki się napijemy?

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem – zastrzegłam, biorąc się w garść i łapiąc byka za rogi. W końcu przyszłam tu, żeby zdobyć pracę.

Obaj prezesi spojrzeli na mnie skonsternowani.

– Ja ją zaparzę.

– Przejmuje pani kontrolę – stwierdził nowo przybyły. – A to nie jest wada – dodał w zamyśleniu.

Kurczę, znowu zostałam rozszyfrowana.



– No ale w pokoju prezesa zaletą też być nie musi – zripostowałam.

Roześmiał się i zniecka poklepał mnie po ramieniu.

– Spoko. Pokój wprawdzie typowy, ale ten prezes jest zupełnie wyjątkowy.

– No to czuję, że będzie mi się tu dobrze pracowało – oświadczyłam z bezczelnością kogoś, kto nie ma nic do stracenia. Po czym złapałam dzbanek z ekspresu i okręciłam się na pięcie. – Gdzie tu jest woda? – zapytałam już spod drzwi.

– Łazienka jest na końcu korytarza – pospieszył z wyjaśnieniem. – Przy schodach na następne piętro.

Każda normalna kobieta po wejściu do łazienki odruchowo sprawdza w lustrze, jak wygląda. Ja byłam pod tym względem zupełnie normalna. Szybki rzut oka upewnił mnie, że nie jest źle – choć przecież zawsze można coś poprawić. Energicznie pokiwałam głową, żeby włosy lepiej się rozłożyły na ramionach. Przybliżyłam twarz do lustra, sprawdzając, czy szminka z ust nie zeszła na zęby. Nie zeszła. Stan pomadki na wargach, podobnie jak stan delikatnego pudru na twarzy nie budziły zastrzeżeń, więc zabrałam się za cel właściwy wizyty w łazience.

Najpierw krytycznie przyjrzałam się dzbankowi: był lekko brudny. Na zlewie dostrzegłam myjkę, ale nie znalazłam soli, tylko płyn do mycia naczyń, więc musiałam użyć samej myjki. Wyszorowałam energicznie dzbanek od środka i krytycznie obejrzałam go pod światło. No, ewentualnie. Nalałam wody i wróciłam do pokoju „wyjątkowego” prezesa.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że mój fotel pozostał pusty; drugi z prezesów siedział wprawdzie przy stoliku, ale na krześle, tyłem do przodu, czy raczej przodem do oparcia, na którym położył ręką zgiętą w łokciu, i w zamyśleniu patrzył na drzwi.

Podeszłam pewnym krokiem do stolika, postawiłam dzbanek z wodą i spojrzałam na prezesów.

– W jakich panowie znajdują się nastrojach? – zapytałam.

Abnegat wzruszył ramionami. Elegant uniósł brwi i zauważył z łagodnym uśmiechem:

- Czy to pytanie nie jest aby nazbyt osobiste?
- Chodzi mi tylko o ustalenie aktualnego stanu rzeczy – wyjaśniłam.
- No to ja jestem śpiący i zmarznięty – wyznał Feldmann.
- Ja nie jestem śpiący, ale też zmarzłem – wyjął Suchański.
- Zatem już wiem, co podać.

Obserwowali uważnie moje ruchy, ale nie czułam presji. Wręcz przeciwnie. Mogłam mieć cały stadion widzów, bo nieśpieszny rytuał parzenia kawy zawsze mnie uspokajał. W milczeniu wlałam do ekspresu wodę i wstawiłam dzbanek. Potem otworzyłam pojemnik na filtry; tak jak przypuszczałam w środku było czysto. Sprzątaczką wyrzuciła stary filtr wraz z zawartością, ale umyć porządnie dzbanka już się jej nie chciało. Wzięłam nowy filtr, starannie zagięłam obie linie zgrzewu i dopiero wtedy rozłożyłam sącdek. Usłyszawszy ciche cmoknięcie, zdziwienia lub aprobaty, więc kiwnęłam potakująco głową. Następnie wyjęłam z torebki zawiniątko i wyciągnęłam z niego kilka składników. Przed przyjściem tutaj uzupełniałam w pobliskim sklepie zapas przypraw, więc miałam wszystko, czego potrzebowałam. Na dno filtra nasypałam odrobinę cynamonu i nieco więcej korzennej przyprawy do pierników, wsypałam na to cztery miarki kawy z pojemnika, a na wierzch dałam cztery krople esencji migdałowej do ciast. Na koniec pstryknęłam włącznikiem i z satysfakcją zapadłam się w fotel. Dopiero wtedy powiedziałam:

- Teraz trzeba poczekać.

Więc siedzieliśmy i czekaliśmy, a pokój powoli wypełniał się aromatem kawy, którą nazywałam w myślach zimową. Wreszcie ekspres zasyczał, dmuchnął parą i przestał bulgotać. Odczekałam jeszcze minutę, aż cała zawartość filtra ściekła do dzbanka, wyjęłam trzy filiżanki i nalałam do każdej z nich kawowego naparu.

- Cukier, śmietanka? – zapytałam.
- A co pani sugeruje? – zainteresował się Suchański

– Odrobina cukru nie zaszkodzi. Choć lepszy byłby miód.

Tym ich kupiłam na dobre. Czułam, że mam już tę pracę w kieszeni. Niestety pojawiła się niespodziewana przeszkoda...

## Rozdział drugi: Ten trzeci

Bez pukania do pokoju prezesa Suchańskiego wparował dziwnie wyglądający osobnik, z obłędem w oczach i szopą zmierzwionych włosów w kolorze mysim. Nastroszone jak szczotka wąsiki sterczały zadziornie, zawijając się nieco przy końcach, a hiszpańska bródka prosiła się o trymer. Na nosie miał dość oryginalne okulary.

– Kurwa mać, cholera jasna i do dupy z tym wszystkim! – krzyknął dramatycznie od progu.

Dwaj prezesi ani drgnęli, za to Emilia aż podskoczyła w swoim fotelu, a kiedy opadła na siedzisko, była sztywna jak jaszczurka dotknięta palcem przez nieostrożnego młodego badacza przyrody.

– Ale ja nie sądzę, aby było aż tak źle... – zaczął ugodowo Suchański.

– Zboże podrożeje – dopowiedział zdawkowo Feldmann.

Emilia otworzyła usta szerzej, bo uwaga o zbożu wydawała się jej co najmniej dziwna. Jednak facet z wąsikami wyraźnie się uspokoił i odpowiedział łagodniejszym tonem:

– Ba! Tylko jeśli rząd zacznie magazynować zboże...

– A kto powiedział, że nie zacznie?! – zawołał Suchański.

Atmosfera niemal namacalnie się poprawiła. Przybysz uśmiechnął się, sapnął dwa razy i dopiero teraz zwrócił uwagę na dziewczynę.

– Ups, pardąsik, nie zauważyłem, że macie gościa – stwierdził pogodnie. – Kimże jest to dziewczę? Kimś? Czy tak po prostu? Sens się przedstawiać w ogóle? Zresztą mniejsza z tym. Maciek Tzymański. To się nie wymydli...

– A to pani Emilia – wtrącił szybko Suchański – która szuka u nas pracy.

– A to jest kawa pani Emilii, której powinienes spróbować – dopełnił prezentacji drugi współnik, sięgając po filiżankę i nalewając do niej szczerze naparu.

– Nie piję kawy wszak, żadnej. A dzisiaj to już w szczególności mam do kawy wstręt jakiś taki irracjonalny. Choć właściwie to racjonalny jak byk.

– Tej musisz spróbować – nalegał Feldmann.

Sypnął kopiastrą łyżeczkę cukru i podał Tymańskiemu filiżankę.

„Kim może być facet, któremu dyrektor finansowy podaje kawę jak kelner?”

– zastanawiała się dziewczyna.

Mężczyzna z nieufnością powąchał aromatyczny napar i nieoczekiwanie twarz mu się rozjaśniła.

– Pachnie jak wspomnienie dzieciństwa. Piernik, Gwiazdka, prezenty, dziadek Anatol przebrany za Świętego Mikołaja, w Wielkopolsce zwanego Gwiazdorem, i kawa zbożowa dla dzieci z cynamonem i wanilią, zaparzona w specjalnym dzbanku z sitkiem, żeby fusy nie leciały do kubków... – W miarę jak mówił, zwalniał tempo swojej wypowiedzi, jego wzrok stawał się spokojniejszy, mniej rozbiegany, a potem coraz bardziej skupiony, utkwiony w jakimś niewidzialnym punkcie...

Nadal nie upił ani jednego łyku kawy.

Emilia chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego syknęła nie tyle z bólu, co z zaskoczenia. Suchański ponad stolikiem złapał ją za przedramię i ścisnął na tyle mocno, że poczuła. Zerknęła na niego, ale on patrzył w napięciu na Tymańskiego. Po prostu w ten nietypowy sposób ją uciszył; miała nie przeszkadzać.

Zadumany mężczyzna, bacznie obserwowany również przez drugiego z prezesów, nagle jakby ocknął się ze snu.

– Wymyśliłem pomysł – obwieścił, odstawiając filiżankę z nietkniętą kawą na stolik. – Idę więc do siebie. Powiedz Agnieszce...

– ...że cię nie ma, nie było i nie będzie – dokończył bystro Suchański. – I ma ci przynieść kredki oraz ołówki.

– Dokładnie. Ale kredki i ołówki mam już naszykowane od dwóch dni. – Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, mruczając coś pod nosem.

Nie wiedziała, co myśleć o całej sytuacji, ale nie zdążyła się tym zmartwić.

– Pani Emilio – zaczął prezes Suchański – nie ukrywam, że wywarła pani na mnie bardzo pozytywne wrażenie, a pani kawa jest naprawdę wyjątkowa...

– Ale? – zapytała z nagłym przestraszeniem.

– Ale my nie szukamy sekretarki, tylko account managera – wyjaśnił z niejakim smutkiem.

Drugi prezes pokiwał w milczeniu głową.

– Jeśli pani pozwoli, coś zaproponuję – ciągnął Suchański. – Agnieszka, nasza sekretarka, posiada zamiary na panią, więc kiedy tylko znajdziemy jakieś miejsce, odpowiednie dla pani umiejętności i kwalifikacji... – zawiesił głos i zerknął w jej CV – czyli jeśli będziemy szukali kogoś z biegłą znajomością języka rumuńskiego, po uniwerku i po rocznej szkole fotografii, to na pewno się do pani odezwiemy. A tymczasem... – Bezradnie rozłożył ręce, patrząc na nią z zaniepokojeniem.

– Rozumiem – odparła cicho. – Proszę nie dzwonić do nas, my zadzwonimy do pani.

Wstając wolno z fotela, wciąż miała nadzieję, ale... żaden z mężczyzn nie powstrzymał jej najmniejszym gestem.

Wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi, choć miała ochotę huknąć nimi z całej siły.

„No i dupa zbita...” – pomyślała z goryczą. Szkoda. Sądziła, że dobrze jej szło i że podczas tej nietypowej rozmowy kwalifikacyjnej udało się jej złapać parę punktów. Ale nikt nie obiecywał, że musi się udać za pierwszym razem. Spojrzała na zegarek: dochodziła dziesiąta. Do następnego spotkania miała jeszcze dwie godziny; tym razem czekała ją wizyta w poradni stomatologicznej, gdzie szukano rejestratorki.

Na schodach zderzyła się z potężnym facetem, który z rozmiaru i wyglądu przypominał niedźwiedzia.

– Przepraszam – bąknęła odruchowo.

– Dobra – warknął bez związku i złapał ją za ramiona, odsuwając na bok.  
– Guru mnie szuka, więc żadne przeprosiny nie pomogą, bo jak się spóźnię, to mi jaja urwie. A ty co, do pracy? Nowa akunta?

– Nowa kto? – Zamrugęła powiekami.

– Akunta. Account znaczy się.

– Chciałam, ale się nie załapałam. – Dziewczyna uśmiechnęła się kwaśno.

– Ale przynajmniej rymy ci wychodzą – pocieszył ją.

Chyba chciał coś dodać, ale wtedy z góry rozległ się rozpaczliwy krzyk:

– Maniek, gdzie ty jesteś, jak ciebie nie ma?!

Obydwoje jak na komendę spojrzeli w górę. Piętro wyżej zza poręczy wychylał się ten sam rozczochrany świr z wąsikiem, który wachał kawę, zamiast ją pić.

Wielkolud spuścił głowę i mrugnął do Emilii.

– Muszę lecieć. Powodzenia. I do zobaczenia w lepszych czasach.

Tymański znowu go pogonił:

– Maniek, nie rwij panienek na schodach, żonę masz! Ruchy! Dawaj na górę, migusiem, zanim mi mózg pierdolnie. I ją też weź. – Wskazał brodą na Emilię.

Niedźwiedziowaty Mańkiem, który zdążył się już pożegnać z dziewczyną, złapał ją za ramię, okręcił, zmieniając kierunek marszruty, i popchnął lekko w górę. Idąc tuż za nią, szepnął jej prosto do ucha:

– *You never can tell...* Nie wiem, czy będą lepsze, ale na pewno ciekawsze.

We dwoje weszli do olbrzymiego pomieszczenia na drugim piętrze kamienicy. Wszędzie na blatach stały, pozornie bez ładu, komputery, na podłodze walały się papiery, wydruki grafik i rysunków, kolorowe folie, a także kredki i ołówki. Wyglądało tu jak po przejściu małej trąby powietrznej – wrażenie potęgował fakt, że na środku pokoju pozostało wolne miejsce, w kształcie nieregularnego okręgu. W centrum odgruzowanej podłogi stał Maciek Tymański.

– Siadajcie i słuchajcie – zaczął z powagą w głosie, więc posłusznie przysiedli na pierwszych z brzegu wolnych obrotowych krzesłach. – Czy jako dzieci piliście kawę zbożową? – padło pytanie.

Emilia, amator reklamowy, uniosła brwi zaskoczona. Maniek-wyjadacz, przywykły do wolt tematycznych, odparł bez wahania:

– No pewnie. Turek albo Dobrzyńka, te nazwy wiążą się nierozzerwalnie z moim dzieciństwem.

– No a ty? – Tymański spojrzał dziewczynę.

W milczeniu pokręciła głową.

– Nawet w przedszkolu? Nie piłaś kawy zbożowej w przedszkolu? – Nie był nastliwy, raczej starał się ją naprowadzić na właściwy trop.

Przez twarz Emilii przemknął cień.

– Mówisz o tym obrzydliwym czymś, z mlekiem, cukrem i mnóstwem fafołów w środku?

Tymański klasnął w ręce.

– Brawo! Zuch dziewczyna! Właśnie o tym mówię. Pamiętasz może smak tej kawy?

– Właśnie mi przypominałeś... – Skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Bo ją trzeba parzyć albo w specjalnym dzbanku z sitkiem, albo po zaparzeniu przelać przez cedzak lub gazę – wtrącił Maniek-znawca. – A w smaku... w smaku nie była taka zła – dodał w zadumie.

– Ty też ją piłeś w przedszkolu? – zapytała Emilia.

– Nie chodziłem do przedszkola. Nie dlatego, że w Koninie brakowało przedszkoli. Jak byłem mały, mieszkałem z rodzicami u dziadków, i to oni się mną zajmowali. Gdy chodziłem z dziadkiem na ryby, zabierał specjalny blaszany dzbanek z sitkiem w środku. Parzył nam kawę na ognisku, sam pił czarną, a mnie dawał z mlekiem.



– Smakowała ci? Naprawdę? – spytała w nieskrywanym wstrętem w głosie Emilia.

– Zajebicie. Smaku dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że czułem się wtedy taki... taki dorosły, choć smark byłem. W każdym razie musiała być dobra, bo trąbiłem kubek za kubkiem. Aha, kubki też były blaszane, takie emaliowane.

– Jesteś normalnie wielki! – zawołał z emfazą Maciek. – A nad tobą trzeba jeszcze popracować. – Pogroził Emilii palcem. – Myśl szerzej.

Zarumieniła się i zgodnie z poleceniem zaczęła myśleć szerzej.

– No... jak się porządnie zastanowić, to można mieć z tą kawą też miłe skojarzenia. Miała farfocle, którymi się fajnie pluło, i była słodka jak diabli... Smak dzieciństwa, te sprawy...

– I to jest bardzo dobra odpowiedź – pochwalił ją Tymański. – Teraz spójrzcie na to.

Wyciągnął zza pleców kartkę w formacie A-4, pokrytą jakimiś bazgrołami. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak rysunki przedszkolaka. W centrum „ilustracji” widniał ludzik na rowerze, z pogryzmołą twarzą – w kierunku gryzmołów biegła strzałka z odręcznym napisem „broda”. Od roweru też biegła strzałka z napisem „stary rower”, nad ludzikiem znajdował się drukowany tekst DZIADEK ANATOL, a w poprzek całej kartki ciągnęła się zapisana wołowymi literami informacja WSZYSTKO W SEPII, okraszona grubasnym wykrzyknikiem na początku.

Na widok tego niezdarne rysunku Emilia zachichotała, ale Maciek zgromił ją wzrokiem, więc umilkła spłoszona. Maniek wziął pogryzmołą kartkę i długo ją studiował.

– Ale fota czy grafa? – zapytał.

– Fota.

– A plener jaki? Dziadek nad jeziorkiem, trzciny w tle?

– Albo polna droga.

– Czcionka?

– Coś wymyślisz. Wiesz, taka westernowa, z kropkami w środku, grube szeryfy na końcach liter, albo coś starego, jakieś retro klimaty, może secesja jakaś.

– Secesja chyba nie, bo to nie ten dizajn, to nie Mucha przecież, no i nazwa za długa jest, może samo Anatol by wystarczyło.

– Dobra, samo Anatol. I dobra, nie secesja, przekonałeś mnie. Western. Polski western zrobimy z tej kawy.

Dziewczyna słuchała ich, jakby prowadzili rozmowę w obcym języku, z której wyłapywała tylko pojedyncze słowa, nieskładające się w żadną sensowną całość. Dzieła się tu jakaś magia, której nie ogarniała. Kilku rzeczy się domyśliła, ale szerszy kontekst ciągle jej umykał.

– Czy ktoś mnie oświeci, o co...?

– Zaraz zobaczysz – przerwał jej Tymański. – Teraz uważajcie na to.

– Aż cały drzę... – mruknął kpiąco wielkolud, ale jego mina wskazywała, że jest podekscytowany.

Maciek Tymański wyprostował się, długą chwilę wodził tryumfalnym wzrokiem po obojgu, wreszcie wypalił:

– Kawa zbożowa ekspresowa! – I siadł po turecku na środku pokoju.

Emilia rozdziawiła usta, przestając rozumieć cokolwiek. Nie wiedziała, czy to jakiś kolejny symbol, manifestacja, mieszająca w głowie podpowiedź, czy po prostu lubił tak siadać.

– W saszetkach? – upewnił się Maniek.

Tymański skinął głową.

– Dobre, nie? Smak dzieciństwa, dziadek Anatol na rowerze, kawa zbożowa w jednorazowych saszetkach, zaparzanie bez fusów, receptura tradycyjna, wspomnienie dziecięcych chwil beztroski i reminiscencja pierwszych dorosłych smaków... No, powiedz sam, dobre, co?

– Dobre? Genialne! Prezeska z Delecty będzie cię nosić na rękach przez miesiąc!

– Tego akurat bym sobie nie życzył. Wystarczy, jak kupią koncepcję.

– Kupią na bank. A na kiedy to ma być? No bo wiesz...

– Wiem. Na przyszły tydzień wstępne projekty, bo jeszcze trzeba pomóżyć nad hasłem i tak dalej. Prezentacja pewnie gdzieś w lutym albo marcu, więc spokojnie, zdążymy.

– To wy se gdzieś idźcie, a ja sprzątam moje stanowisko pracy.

– No to walcz, a my idziemy na śniadanie. I zrób już coś na dzisiaj, zacznij chociaż cokolwiek robić...

– Dobra, dobra, idźcie już, i mnie też przynieście coś na ząb.

Emilia nie zaprotestowała, kiedy Tymański złapał ją za nadgarstek i pociągnął w dół schodów. Minęli pokój prezesa Suchańskiego; piętro niżej sekretarka tylko na nich przelotnie spojrzała; Emilia wygięła się, chwyciła swój płaszcz; i wyszli na Stary Rynek. Dopiero tu mężczyzna ją puścił i wsadził dłonie w kieszenie spodni. Skulił się, bo był w samym swetrze, i zgarbiony pobiegł za róg, w kierunku ulicy Paderewskiego. Dziewczyna ruszyła za nim.

Chwilę potem siedzieli w małej cukierni; a Tymański zachłannie wybierał ciastka, drożdżówki i zamawiał herbatę. Dopiero kiedy ich stolik zniknął pod talerzykami, filiżankami i serwetkami, nagle się uspokoił, a nawet jakby oklapł.

– Jezu, ale mi siadł cukier – mruknął. – Normalnie jakby mi słoń na łeb nadeptał...

– Kawa dobrze by ci zrobiła – zauważyła Emilia.

– Nie piję kawy. Nie lubię.

– Nawet zbożowej?

Zarechotał niespodziewanie.

– Zbożowej chyba nigdy do ust nie wziąłem.

– To skąd wiesz, jak smakuje?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wy mi powiedzieliście, ty i Mariusz – wyjaśnił i zamilkł, bo zapchał sobie usta połówką drożdżówki.

Przez dziesięć minut jadł, jakby umierał z głodu, podczas gdy dziewczyna ledwie skubnęła ciastka francuskiego z jabłkiem. Ciągle nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Zerknęła na zegarek: zbliżała się jedenasta. Westchnęła.

– Bardzo dziękuję za śniadanie, ale już muszę lecieć...

– Gdzie? – zdziwił się. – Robota na dzisiaj zrobiona i należy nam się przerwa regeneracyjna.

– O dwunastej mam kolejną rozmowę kwalifikacyjną.

Zamrugnął powiekami i wzrokiem poprosił o dodatkowe informacje.

– W gabinecie stomatologicznym. Szukają rejestratorki – wyjaśniła.

Zaśmiał się tak szczerze, że aż ktoś z ulicy zajrzał do wnętrza kafejki. Śmiech miał dźwięczny i donośny. Jak dziecko.

Kiedy cała jego wesołość wypromieniowała w przestrzeń, zapytał:

– Nie dostałaś u nas pracy?

Pokręciła głową.

– Nie potrzebowaliście kogoś z moimi, hm, predyspozycjami.

– A chcesz pracować u dentysty? Naprawdę? Dentyści to straszni ludzie. Wyrwają innym zęby, wiesz? Mam kolegę dentystę. Prywatnie sympatyczny facet, ale w robocie okrutnik, torturuje ludzi, boruje, rwie i jeszcze nuci w trakcie. Psychopata – zakończył ponuro.

Roześmiała się mimo woli.

– Nie chcę, ale siła wyższa. Muszę się z czegoś utrzymać.

– A kto nie musi... – Sięgnął ręką pod sweter i wyciągnął z etui przy pasku telefon komórkowy. Powiedział do słuchawki „stasiu” i czekał chwilkę na zgłoszenie się rozmówcy.

Komórka z możliwością wywoływania numerów głosem była przydatnym gadżetem. Numery wpisywała Agnieszka, a on nagrywał imię rozmówcy albo jego

ksywkę. Potem wystarczyło wypowiedzieć zakodowane w pamięci telefonu słowo, aby uzyskać połączenie. I choć Maciek nigdy by się do tego głośno nie przyznał, funkcja posiadała jeszcze jedną wielką zaletę: uniemożliwiała mu telefonowanie do znajomych po pijaku, bo gdy bełkotał, system nie potrafił zidentyfikować, o kogo mu chodzi.

– Pamiętasz dziewczynę, którą przesłuchiwałeś? – rzucił do słuchawki, usłyszawszy spokojny głos przyjaciela. – No dzisiaj. A ile ich tam do ciebie przychodzi? Ładna blondynka z oryginalnym imieniem. Emilia, tak, możliwe, że Rafińska. Ta od kawy? A skąd wiesz? Aaa... no tak, ta od kawy. No więc, nie wiem, czemu ci się nie podoba, ale zatrudnij ją. Czemu? Bo... cię proszę? Za mało? No to uznajmy, że zdradziłem jej tajemnicę firmy. Jaką? Tak świeżą, że aż gorącą, nawet ty jej jeszcze nie znasz... Stasiu, kurwa, ładnie cię proszę, nie marudź. Jakoś tak wyszło, chyba mnie omotała albo coś. – Emilia prychnęła, więc puścił do niej oko i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W każdym razie chodzi o jednego z naszych strategicznych klientów, więc sam rozumiesz. Nie ma umowy, nie ma obowiązku trzymać języka za zębami... Nie szantażuję cię, po prostu informuję... Nie rozumiem, masz coś do niej osobiście czy o co chodzi? Nie masz? No i pięknie. Na jakim stanowisku? Sam nie wiem... – Przyjrzał się uważnie Emilii, spojrzawszy jej w oczy, przesunął wzrok na piersi i zawyrokował: – Jest za ładna na accounta, klienci będą się rozpraszać. Niech będzie... o, moją asystentką. No, racja, nigdy nie miałem asystentki, ale teraz chcę mieć. Dobrze mi się przy niej myśli. Wystarczy? Świetnie. Ciesz się, że ci taki argument wystarczy. Zaraz ci ją przyprowadzę. Znacząca za takie dłuższe zaraz, bo teraz jemy śniadanie. Tak, wiem, że zaraz to taka wielka bakteria. Ja ciebie też – zakończył rozmowę i cmoknął powietrze, a potem się rozłączył.

Emilia gapiała się na Tymańskiego szeroko otwartymi oczami. Ciągle nie docierało do niej, co się właśnie stało. On też przez chwilę siedział nieruchomo, jakby podejmował w myślach tę decyzję na nowo. Pierwszy raz wywarł tak zdecydowaną presję na swojego wspólnika. Owszem, upierał się czasami przy zatrudnieniu kogoś, ale

zawsze dotyczyło to osób znajomych lub o których słyszał wiele dobrego. Znał też ich dokonania, albo chociaż ich potencjał. Teraz było inaczej. Widział tę dziewczynę pierwszy raz w życiu, ale faktycznie dobrze mu się przy niej myślało i wyczuwał od panny Emilii Rafińskiej jakieś pozytywne wibracje.

Energicznie skinął głową, jakby pieczętując swój wybór.

– Wcinaj – rzucił i sam zabrał się za pączka. Trzeciego z kolei. – Czeka cię dzisiaj jeszcze mnóstwo pracy – wymlaskał z pełnymi ustami. – I to nie ze mną niestety, więc nudnej, mało twórczej, choć potrzebnej. Papierologia. A o tym dentyście zapomnij.

Posłusznie sięgnęła po napoczęte ciastko francuskie i zjadła je przy milczącej aprobacie swojego nowego szefa. I przy wtórze siorbania – Maciek Tymański pił gorącą herbatę, wydając paszczą odgłosy niczym koń przy wodopoju.

## Rozdział trzeci: Pierwszy dzień w pracy

Zmierzałam do wynajętego mieszkania grubo po szóstej wieczorem, robiąc w tramwaju bilans zysków. Tak, zysków – bo po stronie strat plasowała się tylko jedna pozycja: brak obiadu. Zwyczajnie nie miałam na niego czasu.

Do agencji wróciliśmy przed dwunastą; przy śniadaniu trochę gadaliśmy o pierdołach, trochę sprawdzaliśmy się nawzajem, ja nawet próbowałam flirtować, ale bez specjalnego odzewu, więc przestałam się wygłupiać, tym bardziej że wieczorem miałam się spotkać z Grzegorzem, moim jakby nie było narzeczonym.

Agnieszka, wiecznie uśmiechnięta sekretarka, od progu wręczyła mi jakieś kwestionariusze i ankiety do wypełnienia, a Maciek pożegnał się krótkim „cześć” i pognał po schodach na górę. Zasiadłam przy małym stoliku w bocznym pokoju i prawie godzinę pracowicie skrobałam, wypełniając setki tabelk. Maciek miał rację: nudna robota. Myślałam, że praca w agencji reklamowej powinna zacząć się jakoś bardziej spektakularnie, a tu biurokracja taka jak wszędzie. Z drugiej strony to raczej dobrze świadczyło o firmie.

Kiedy z wypełnionymi kwitami wróciłam do Agnieszki, ta skierowała mnie do prezesa Suchańskiego. Był u niego ten drugi, Feldmann; siedział w fotelu z komputerem na kolanach, a na stoliku obok leżały nowiutki laptop i komórka.

– Służbowy telefon bez limitu rozmów, pod warunkiem że też będą służbowe, choćby w niewielkiej części – wyjaśnił pogodnie Suchański. – Laptop... Aha. Ma pani dostęp do netu?

– W domu? – zapytałam.

Potaknął.

Pokręciłam głową, zaprzeczając.

– Zatem Agnieszka da pani taki diwajs, żeby mogła się pani łączyć z domu albo z pociągu, albo skąd pani zechce.

– Pozostaje jeszcze kwestia umowy o pracę – wtrącił Feldmann. – Ile by pani chciała zarabiać?

Zachichotałam jak idiotka, chyba z nerwów.

Prezes-abnegat uniósł w górę brwi.

– Czy to dziwne pytanie?

– Powiedzmy, że dość niespodziewane, biorąc pod uwagę, że dwie godziny temu z panów błogosławieństwem pożegnałam się z tą pracą. Jeszcze nie zdążyłam ochłonąć.

– To niech pani chłonie szybciotko, bo ja tu muszę coś wpisać. – Popukał palcem w ekran laptopa, którego trzymał na kolanach, a ja zaczęłam panikować.

Ile mam zażądać? Tak żeby nie było ani za dużo, ani za mało. Żeby ich nie obrazić, ale też żeby nie pracować na waciki. Nagle wpadłam na genialną myśl.

– Jeszcze nie wiem, co będzie należało do moich obowiązków.

Spojrzeli po sobie skonsternowani.

– No fakt – przyznał mi rację Suchański. – Jak słyszałem, ma pani być asystentką szefa działu kreacji. Oczywiście szczegółowy zakres obowiązków zostanie dołączony do umowy o pracę, ale tu musimy z grubsza ustalić to i owo.

Teraz mnie zatkało.

– Aaa... tego to nie wiedziałam... Myślałam, że... bo Maciek...

– „Bo Maciek” jest u nas dyrektorem kreatywnym – oświecił mnie Feldmann.

– W takim razie chcę zarabiać dwa razy więcej, niż myślałam na początku – żartowałam.

– Wydaje mi się, że to i tak będzie o dwa razy za mało... – westchnął Suchański.

– Niech mnie pan nie straszy, bo jeszcze uwierzę! – Roześmiałam się. – Maciek sprawia wrażenie bardzo sympatycznego człowieka.

– Owszem – potwierdził. – Maciek sprawia takie wrażenie.

– A jaki jest naprawdę? – zainteresowałam się.

– Tego nie wie nikt...



– I na tym zamknijmy temat – uciął Feldmann. – Stasiu, ja cię przepraszam, ale trochę mnie czas goni. Ile, pani Emilio? – zwrócił się do mnie. – Konkretnie? Jaką kwotę niech pani zaproponuje. A my się do niej odniesiemy.

– To może sobie policzę – zasugerowałam i zaraz zaczęłam liczyć na głos: – Za wynajem pokoju płacę pięćset pięćdziesiąt miesięcznie, dziennie na jedzenie wydaję jakieś dwie dychy... dojazdy, czyli sieciówka... wychodzi mi tysiąc czterysta. Netto, czyli na rękę – zastrzegłam się szybko. – No ale chciałabym też jakąś małą górkę, na ekstrasy, a nie tak z łapy do papy, jak mawia moja ciotka Adela.

Spojrzeni po sobie skonsternowani. Suchański chyba nawet uniósł brwi w niemym zdziwieniu. Podejrzywałam, że tak podziałało na nich moje profesjonalne podejście, ale byłam w błędzie.

– Podoba mi się pani sposób rozumowania – powiedział Feldmann, ale pochwała okazała się pozorna. – Niemniej gdyby nasza konkurencja dowiedziała się, że dostaje pani u nas tak mizerne pieniądze, to zrobiłaby wszystko, żeby panią podkupić. Choćby po to, by wziąć panią na spytki, a nie można komuś zamknąć ust i żądać lojalności, płacąc mu tak skromnie. Więc dziękuję za szczerłość, a moja propozycja brzmi następująco: na początek trzy i pół brutto, plus zwrot kosztów dojazdów, plus premie, ale bez nadgodzin, bo u nas pracuje się zadaniowo. Za to oczekujemy pełnej dyspozycyjności. Umowa na okres próbny, czyli trzy miesiące, a jeśli się pani sprawdzi, to następna umowa będzie na dwa lata, z możliwością przedłużenia jej po roku na kolejne trzy... A nie, to stary przepis. Więc po dwóch latach na czas nieokreślony. Może być?

Oszołomiona, zdołałam pokiwać energicznie głową. Ten facet proponował mi pensję nieco tylko niższą od łącznych dochodów moich rodziców, nauczycieli z dwudziestoletnim stażem! Praca w reklamie... Już zaczynałam ją lubić, choć jeszcze nie do końca wiedziałam, na czym polega.

Zaszumiała drukarka na biurku i wypluła kilka kartek.

– Tu proszę podpisać, i tu, i tu też. – Drugi prezes podsuwał mi pod nos kolejne kartki, jeszcze ciepłe, a ja podpisywałam bez czytania. Po głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: ponad trzy tysiące pensji!

– Netto to wychodzi jakieś dwa osiemset czterdzieści. – Feldmann jakby czytał mi myślach. – Ale z premiami może pani wejść w wyższy próg podatkowy, więc...  
– Wzruszył ramionami.

Wyższy próg podatkowy? No, też mi zmartwienie!

Kiedy formalnościom stało się zadość, a jeden egzemplarz umowy o pracę – pierwszej w moim życiu! – trafił bezpiecznie do mojej torebki, prezes-abnegat wyszedł, a prezes-elegant wziął mnie pod ramię.

– W takim razie pozwoli pani, że ją oprowadzę po firmie – powiedział i delikatnie wypchnął mnie na korytarz. – Zaczniemy od podstaw, czyli od sekretariatu.

Zeszliśmy na parter.

– My się już znamy. Agnieszka. – Sekretarka pomachała mi zza biurka.

– Emilia – powiedziałam. – Dla przyjaciół Mila.

– No to będę cię tak nazywać, bo na pewno się zaprzyjaźnimy. – Uśmiechnęła się szeroko.

Prezes-elegant zmarszczył brwi, jakby o czym sobie przypomniał.

– Zasadniczo tu wszyscy mówimy sobie po imieniu. Stanisław – powiedział, wyciągając do mnie rękę. – Dla przyjaciół Stasiu, a coś czuję przez skórę, że też się zaprzyjaźnimy.

– Miło mi. – Uścisnęłam mu dłoń, odruchowo dygając jak pensjonarka. Może mówili tu do siebie po imieniu, szefowie i podwładni, ale jakoś nie wyobrażałam sobie, by przeszły mi przez usta familiarne zdrobnienia w odniesieniu do prezesów. No już bez przesady. To było dla mnie zbyt wielkowiejskie.

– Chodź, Milu, pokażę ci resztę naszych włości i, hm, włości.

Na parterze, czego nie zauważyłam wcześniej, znajdowała się jeszcze jedna duża sala. Stół, osiem krzeseł, rzutnik, ekran i jakieś tablice – to było całe wyposażenie. Sala wydawała się jakby zamaskowana; przeszklona ściana została przesłonięta wertykalami i dopiero kiedy Agnieszka użyła pilota, obróciły się z cichym poszumem.

– To sala konferencyjna, a za plecami Agnieszki mieści się mały pokój, w którym już byłeś. No i kuchnia. Ale tam wstęp ma tylko ona – wyjaśnił prezes Stasiu.

– Trzymasz tam skarby? – zapytałam, obracając się w kierunku biurka sekretarki.

– Ciastka, kochana, ciastka. A tutaj ciastka to... – Agnieszka zawiesiła głos i uniosła palec wskazujący, robiąc przy tym minę, jakby na coś czekała.

I doczekała się.

– Czy ktoś przed chwilą wypowiedział magiczne słowo na „ce”? – zapytał znajomy mi już wielkolud, schodzący właśnie po schodach. Przypadkiem?

– Mariusz Dąbrowski – przedstawił go prezes Stasiu.

– Dla przyjaciół Maniek – wtrąciła z porozumiewawczym uśmiechem Agnieszka.

– O? – zdziwił się Mariusz. – To ja mam przyjaciół? A teraz dawać mi tu zaraz ciastka, najlepiej te z czekoladą i dżemem w środku.

– Są albo z czekoladą, albo z dżemem w środku – sprostowała Agnieszka.

– Ale ja się je skłapnie razem, to są jednocześnie i z czekoladą, i z dżemem. A takie lubię najbardziej... – rozmarzył się.

– Masz i znikaj w gawrze, niedźwiedziu. – W jakiś czarodziejski sposób w dłoniach sekretarki-strażniczki-ciastek pojawiły się dwa szeleszczące opakowania, które poszybowały w kierunku uśmiechniętego olbrzyma. Zgrabnie je złapał, każde w inną rękę, i błyskawicznie odwrócił się na pięcie, by zniknąć na schodach.

– Mariusz jest dyrektorem artystycznym – dopełnił prezentacji prezes Stasiu.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Tego dnia wciąż się dziwiłam.

– Czy tu pracują wyłącznie takie oryginały? – wyrwało mi się.

– No coś ty – zachnął się. – Mariusz jest zupełnie zwyczajnym facetem.

– W taki razie już się boję spotkania z tymi niezwykłymi.

– Dzisiaj ci to nie grozi, wszyscy plastycy i graficy mają urlop.

– Pomór jakiś?

– Nie. Wczoraj skończyli przygotowywania do pierwszego etapu dużego konkursu. Pracowali przez bite pięć dni, prawie na okrągło, szykując prezentację prac agencji, więc Maciek dał im wolne. Ale chodźmy na górę, przedstawię cię pozostałym.

– Stasiu, a może prościej będzie zwołać ich wszystkich na dół, do konferencyjnego? – zaproponowała Agnieszka. – Co będziecie tak kolędować po nich jak jakieś dziady... – Po czym nie czekając na zgodę, puknęła palcem w klawisz na swoim telefonie. – Wiaraaaa! – rozdarła się na całe gardło do interkomu. – Ciacha dają w salkonie!

Z góry doleciało do mnie trzaskanie drzwi, a po chwili na schodach zaroilo się od ludzi płci obojga. Nawet nie przypuszczałam, że aż tyle osób tu pracuje. Trzy dziewczyny i czterech młodych mężczyzn, wszyscy ubrani starannie i raczej elegancko, całym stadem waliło w naszą stronę. Boże, czy oni tu cierpieli na niedobór cukru?

– Chodu! – krzyknął Stasiu, pociągając mnie za rękę w kierunku sali konferencyjnej, w skrócie „salkonu”, jak się domyśliłam.

Zaraz za nami wpadli pozostali, czyniąc wrzawę jak rój pszczół. Prezes uciszył ich władczy ruchem ręki.

– Spokój, dzieci.

– Ale ciastka... – zaszemrał ktoś.

– Zaraz będą – zapewnił, widząc uśmiechniętą Agnieszkę, która z dumą wkroczyła do sali z dwiema ogromnymi paterami wypełnionymi po brzegi, i z czubkiem, ciasteczkami przeróżnych kształtów. – Bierzcie i jedzcie wszyscy, bowiem to są ciastka od Bahlsena! – zawołał z emfazą. – A ja dokonam prezentacji – dodał szybko.

Wszyscy spojrzeli na mnie zaintrygowani. Najwyraźniej tworzyli zgrany zespół, zatem ciekawiło ich, kto do tego zespołu właśnie dołączył.

– To Emilia Rafińska, nasza nowa koleżanka. Przywitajcie ją.

Siedem par rąk jak na komendę grzmotnęło w stół.

– Tak tutaj klaszczemy – wyjaśnił mi.

– Teraz rozumiem, dlaczego stół jest metalowy...

– A nie, to pomysł Maćka. Takie klaskanie to już sami wymyślili. No ale do rzeczy, jedziemy od lewej. Tam siedzi Łukasz, nasz producent. Generalnie zajmuje się kontaktami z podwykonawcami, z drukarniami przede wszystkim, czasem z innymi. Sam ci opowie, bo uwielbia opowiadać o sobie. – Puścił do niego oko.

– Mów mi Łuki – przedstawił się wysportowany facet, o kruczoczarnych włosach, amerykańskiej szczęce i wybitnie niepasującym do całości twarzy małym, perkatym nosie. Gdyby nie ten nos, byłby ciężko przystojny, a tak był przystojno-uroczy.

– Obok Łukiego dycha Hania Trzmiel, nasza producentka radiowa, telewizyjna i dźwiękowa. Osoba wielce nerwowa i cierpliwa zarazem, zestawienie rzadko spotykane w świecie ludzi i zwierząt. A poza tym wiecznie cierpiąca, więc może dlatego. – Spojrzał na nią z troską.

Przedstawiona głośno wysmarkała się w chusteczkę higieniczną. Była blada, nieumalowana i wyraźnie zmęczona.

– Mam alergię – mruknęła ponuro. – Na wszystko.

– Obok Hani siedzi Ilona Leńska, zwana Leną, ale ją już znasz. To nasza account. Czym się zajmuje? W skrócie: przynosi nam pieniądze. Dokładniej sprawia, że zarabiamy pieniądze, bo sprzedaje naszą ciężką pracę naszym trudnym klientom. Dalej Kasia, też account. Ma lżej, bo nie jest taka chorobliwie ambitna i woli łatwiejszych klientów. Na niej też nieźle zarabiamy. Potem Paweł Czech, dyrektor handlowy naszych własnych przedsięwzięć. Podlegają mu dwie gazety i kwartalnik reklamowy, który być może wkrótce stanie się miesięcznikiem. Wreszcie dwaj media-plannerzy: Wojtek i Michał. Zasadniczo oni dwaj zabierają nam pieniądze, które dostaliśmy od

klientów, i zanoszą do gazet oraz wszędzie tam, gdzie uznają za stosowne. A gdzie reszta zespołu?

– To jeszcze nie są wszyscy? – zdziwiłam się.

– No oczywiście, że nie. To zaledwie część z pierwszego piętra, większa, ale nie cała. Są jeszcze Bartek i Marcin...

– Pojechali do Romana, obejrzyć nowe konstrukcje dla Meblo-stylu – wyjaśniła Lena.

– ...bo zajmują się outdoorem w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. I nie widzę Moniki...

– Pojechała po ciastka! – obwieścił radośnie Łukasz.

– ...bo jest accountem, a Bahlsen to jej klient – znów doinformował mnie prezes Stasiu. – Aha, jeszcze Elwira, czyli nasz dział badań, też jej tu nie widzę.

– Dzwoniła rano, że ma chore dziecko – rzuciła przez zakatarzony nos Hanka producentka.

– W porządku. To całe pierwsze piętro, bo mnie i Andrzeja już poznałaś.

– A co z drugim piętrem? Znam tylko Mariusza.

– Resztę poznasz jutro, jak wrócą z urlopu.

– No i Maćka znam – wtrąciłam.

– Powiedzmy – mruknął. – No i Maciek to jest trzecie piętro. Najwyższe.

W tym momencie aż podskoczyłam, bo znowu wszystkie pary rąk walnęły o stół. Ale o wiele mocniej.

## Rozdział czwarty: Historia

Kiedy Maciek Tymański dostarczył dziewczynę przed uśmiechnięte jak zawsze oblicze Agnieszki, uznał nie bez racji, że zostawia ją w dobrych rękach. Wleciał na górę, na swoje trzecie piętro, żeby zabrać kurtkę, bo zdecydował, że na dziś skończył już pracę. W drodze na parter zerknął do Mariusza, ale ten siedział z nosem zatopionym w katalogach ze zdjęciami, więc bez słowa wycofał się na schody i po cichu zszedł na dół. Agnieszka brodą pokazała mu drzwi do pokoju, więc domyślnie skinął głową i położył palec na ustach. A potem zmienił układ prawej dłoni, posłał jej całusa i wyszedł.

Jak zawsze, kiedy opuszczał firmę, przystanął oczarowany widokiem Starego Rynku. Mimo połowy grudnia nie było nawet specjalnie zimno, no i oczywiście nigdzie nie dostrzegł nawet odrobinki śniegu.

„White Christmas”, pomyślał z ironią i wsadził ręce głęboko w kieszenie dżinsów. Przeszedł na ukos przez rynek, kierując się do Arsenału, swojej ulubionej księgarni.

– Cześć, dziewczyny! – zawołał od progu ku dwóm ekspedientkom stojącym za ladą tuż przy wejściu.

– Cześć, Maciek – odpowiedziały chórem i z niewymuszonymi uśmiechami. Lubiły go nie dlatego, że zostawił tu przez ostatnich parę lat mnóstwo pieniędzy; lubiły go bezinteresownie.

– Coś macie ciekawego? – spytał z nadzieją w głosie.

Wyższa z dziewczyn, Malwina, powoli uniosła do góry palec wskazujący prawej ręki, po drodze dotykając nosa, przez chwilę pokręciła nim nad głową, a potem wskazała mu kierunek.

– Na najniższej półce, pod przewodnikami – powiedziała tajemniczo.

Dał nura pomiędzy ludźmi i dotarł do wskazanego miejsca. Dostrzegł bez trudu „swoją” książkę: *Słownik wyrazów kłopotliwych*. Kucnął przy regale i z nabożną czcią wziął go w ręce, kartkując powoli. Jedyne egzemplarz...

Wrócił do dziewczyn. Malwina akurat poszła między regały, więc zapłacił u Ani. Jak zawsze skorzystał ze swojej pięcioprocentowej karty rabatowej – dziewczyna wzniosła oczy w górę, ale sięgnęła po kalkulator. Wyliczyła należność, Maciek zapłacił i bez pakowania porwał książkę. Wrócił z nią do agencji, ale wstąpił tylko do Agnieszki – położył słownik na jej biurku, a ona szybko schowała go do najniższej szuflady. Znowu posłał sekretarce całusa i wyszedł, tym razem na dobre.

Ludzie posiadają rozliczne zainteresowania i tracą czas na rozmaite, czasem dziwne czynności. Tymański kolekcjonował wszelakie słowniki, rzecz jasna ze szczególnym uwzględnieniem słowników języka polskiego. To jeszcze niespecjalnie odbiegało od normy, bo pasjonaci zbierają różne rzeczy: słonie, aniołki, kaczki z porcelany, pluszowe misie, włóczkowe pieski. Ale on te słowniki na dokładkę czytał, tak jak inni ludzie czytują powieści. Powieści zresztą też czytał, równie chętnie. Właściwie czytał wszystko, od opakowań makaronu w sklepie, poprzez nagłówki gazet wystawionych w witrynie kiosku, po książki science fiction i sagi romansowe, choć te ostatnie z niejakim trudem. Był maniakiem czytania. A kiedy nie mógł czytać, bo na przykład jechał samochodem albo leżał w ciemnym pokoju, próbując zasnąć, wtedy słuchał audiobooków.

Panuje powszechnie przekonanie, że ludzie myślą obrazami; także pod tym względem Maciek Tymański był wyjątkowy. Aby przywołać przed oczyma duszy jakiś obraz, musiał się porządnie skupić i wysilić; słowami zaś myślał szybko i dostatecznie barwnie. Dokładniej myślał nie tyle słowami, co polimerowymi łańcuchami słów, jak sam to kiedyś określił. Bez najmniejszego wysiłku układał w głowie całe zdania, akapity, całe teksty nawet, z których niewiele zapominał i tylko to, co nie było według niego warte pamiętania. W tej chwili właśnie zastanawiał się nad fragmentem niedawnej rozmowy z Emilią.



„Czy ja piję kawę? Bardzo rzadko, właściwie wcale. Nie potrzebuję kofeiny, potrzebuję raczej czegoś, co zwalnia aktywność umysłową, jak yerba mate, która kofeiny ma mało, pobudza łagodnie i można po niej zasnąć, no i sikać się nie chce tak jak po kawie. Ale do meritum, myślenie o dwóch rzeczach naraz zniosę, ale przy trzech, czterech zaczynam się gubić. Nie, nie gubić, męczyć, bo za dużo jest do pamiętania... Właśnie, właśnie... Aha, fakt, że kawy nie pijam w ogólności, a zbożowej w szczególności, nie znaczy, że nie mogę wpaść na dobry pomysł, jak kawę zareklamować. Bo kogo obchodzi, co prywatnie myślę o kawie? Lub o czymś innym? Odbiorca reklamy chce się z niej dowiedzieć, co on myśli na dany temat, a ja mam mu to powiedzieć. Dlatego wolę polegać na cudzych opiniach i na ich podstawie budować metafory, ciągi skojarzeń... I dlatego nigdy nie zrobię żadnej reklamy cygar, bo je lubię i palę. I nigdy nie zrobię reklamy okularów, bo mam i używam, choć nie lubię, ale muszę nosić. A ostatnia kampania dla Johnson & Johnson o szklach kontaktowych wyszła rewelacyjnie. Dlaczego? Bo nie używam szkieł kontaktowych”.

Poczuł się tym samo-wy-tłumaczeniem usatysfakcjonowany i błyskawicznie przełączył się na ekspresową kawę zbożową Anatol, która wprawdzie jeszcze nie istniała, ale dla niego była już bytem realnym.

„Tym zadziwię wszystkich: nie będzie hasła reklamowego! Bo jak niby nazwać wspomnienie z dzieciństwa? Kawa zbożowa wystarczy, a nazwa Anatol też przywołuje wspomnienia”.

Tu na chwilę się zawahał – dziadek Anatol był przecież jego osobistym wspomnieniem.

„Dobra, czasami trzeba dać coś z siebie i od siebie. To jest właśnie magia reklamy”.

Uśmiechnął się drwiąco, stając pod kamienicą, w której mieszkał.

„I to jest właśnie dobre miejsce, aby przestać myśleć o robocie, a zacząć myśleć o... – zerknął na zegarek – o obiedzie jeszcze nie pora, ale może lanczyk malutki? Zobaczymy, co tam Martyna przygotowała”.

Tu znów się zreflektował; Martyna prawdopodobnie była jeszcze w pracy. Obrócił się na pięcie i wrócił na rynek.

Idąc do apteki Pod Złotym Lwem, przeszedł przez rynek z drugiej strony Ratusza i minął Urząd Stanu Cywilnego. Nie przepadał za tym budynkiem, ale jeszcze bardziej nie cierpiał chodzić dwa razy tą samą trasą. Przynajmniej nie w mieście; nad rzeką miał swoje stałe ścieżki, no ale rzeka sama z siebie zmieniała się nieustannie, więc tam nie musiał wynajdywać urozmaiceń krajoznawczo-turystycznych.

„Jeśli ktoś nie lubi zimy, to zwykle z kilku mniej lub bardziej racjonalnych powodów. Ja nie lubię zimy dlatego, że nie można chodzić na ryby”, pomyślał bez związku. Owszem, znał kilku zapalonych wędkarzy, łowiących w każdych warunkach i o każdej porze roku, sam kiedyś też dał się namówić na styczniowe łowy łososi na Parsęcie, ale zostały mu po tej wyprawie wspomnienia niespecjalnie zachęcające do ponowienia podobnych eksperymentów. Najchętniej łowił szczupaki, a sezon na nie rozpoczynał się dopiero pierwszego maja. Westchnął ciężko i wszedł z ponurą miną do apteki.

W okienku młoda pani magister tłumaczyła jakiejś staruszce zawilości związane z refundacją przepisanego jej leku. Druga, równie młoda pani magister, pomagała dobrać plaster na odciski starszemu panu. W trzecim okienku młody pan magister bez cienia zażenowania rozpływał się w zachwytach nad nowymi czopkami na hemoroidy, a słuchające go dwie staruszki wydawały się być rozanielone faktem, że ktoś wreszcie poważnie traktuje ich cielesne problemy. Maciek wyminął kilka osób stojących potulnie w kolejce i w głębi aptecznego przedsionka dobrych rad zastukał do za-  
bytkowych drzwi. Posłyszał cichutkie bzyczenie i pchnął je lekko.

Martyna siedziała w głębi swojego gabinetu, za wielkim dębowym biurkiem, i przeglądała jakieś papiery. W białym kitlu wyglądała przeuroczo, a w okularach zsuniętych na czubek nosa tak seksownie, że aż go zatkało. Stał w progu i przyglądał się oczarowany.

– Czy jako mała dziewczynka lubiłaś kawę zbożową? – zapytał.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

– Powtórz pytanie, bo byłam zajęta jakimiś mało ważnymi sprawami – mruknęła.

– Lubiałaś kawę zbożową w dzieciństwie? – Tymański podobnie jak nie cierpiał chodzić dwa razy tą samą trasą, tak nie znosił się powtarzać, a przynajmniej nie lubił mówić dwa razy dokładnie tego samego.

– Niespecjalnie – odparła flegmatycznie. – Miała fusy i smakowała... nieszczęśliwie... Chociaż... lubiałam samo słowo kawa, bo jako małemu dziecku kojarzyło mi się z dorosłością, i chyba uważałam, że wcale nie musi być smaczna... wystarczy, że jest czymś dorosłym...

– Cieszy mnie twoja odpowiedź. – W zadumie pokiwał głową. – Chodź do domu, jestem głodny.

– Właściwie mam jeszcze trochę pracy... – Przez chwilę się wahała, wreszcie wstała energicznie. – Ale mogę sobie zrobić przerwę. Tylko w domu nie mam nic gotowego, trzeba by...

– To chodź do Sphinksa. Ja stawiam.

– Święto jakieś?

– Mam asystentkę.

– Dwa razy mi tego nie mów, już nas tu nie ma. Ale właściwie... po co ci asystentka?

– Nie wiem. Może na coś się przyda.

Dokładnie to samo pytanie zadał Andrzej Feldmann, choć w bardziej męskiej konwencji:

– Po co mu, kurwa, asystentka?

Przed wizytą w banku zajrzał do Stasia na chwilę, dręczony wątpliwościami.

Suchański tylko wzruszył ramionami i odpowiedział podobnie jak Maciek.

– Nie wiem, ale może mu się przyda.

– Stary, przecież za nim nawet Martyna nie nadaża, a znają się całe życie.

– No więc może go trochę spowolni.

– A to nam nie zaszkodzi w interesach?

– Jesteś beznadziejny...

– Praktyczny.

– Słuchaj, przecież właśnie dlatego daliśmy ogłoszenie, że szukamy account managera, prawda? Bo to właśnie my, cała agencja, powoli przestajemy się z nim wyra-  
biać. A dyla na niego cały zespół i wszyscy piszczą, że mają roboty od...

– No... – zreflektował się Andrzej. – W sumie masz rację.

– A poza tym nie zauważyłeś, że on ciągle przyspiesza? Jak myślisz, długo moż-  
na pracować w takim tempie?

– Nie wiem. Ja w takim tempie nawet nie biegam do autobusu.

– Ty w ogóle nie biegasz do autobusu, bo jeździsz taksówkami.

– Fakt. Znam go od przedszkola i nigdy nie był taki nakręcony. *À propos* taksów-  
wek, chyba jedna czeka na mnie już od kwadransa, więc się pożegnam. – Jeszcze raz  
wzruszył ramionami i wyszedł.

Żeby być dokładnym, nie chodzili razem do przedszkola, a w każdym razie nie do  
jednej grupy. Maciek był od nich obu starszy o rok. Ale w dzieciństwie mieszkali  
w tym samym bloku na małym osiedlu dla pracowników Politechniki i od kiedy po-  
trafili na własnych nogach do piaskownicy, spotykali się codziennie. Stanowili  
doskonałe trio do wszelkiego typu zabaw; Maciuś potrafił wszystko wymyślić, Stasiu  
wszystko zorganizować, a Jędrus znaleźć na to fundusze albo na tym zarobić. Tak  
samo sprawnie działali w agencji, którą razem stworzyli według pomysłu Maćka,  
przy niezastąpionych umiejętnościach organizacyjnych Staszka i dzięki finansowemu  
talentowi Andrzeja.

Agencja reklamowa FAST powstała jako spółka z ograniczoną odpowiedzialno-  
ścią już w 1991 roku. Nazwę utworzono od pierwszych liter nazwisk ojców-założy-

cieli, dodając „a” w środku, żeby lepiej brzmiało. Andrzej Feldmann, ekonomista i prawnik, a przy tym geniusz finansowy, zajmował się tym, do czego stworzyła go natura i predestynowały geny; w jego żyłach płynęło parę kwatek krwi żydowskiej, o czym dobitnie świadczyło nie tylko nazwisko. Stanisław Suchański, z wykształcenia psycholog, człowiek przeuroczy i szarmancki, o urodzie południowca i fantastycznym zmyśle obserwacji (jego maksyma życiowa brzmiała: „Mówię ludziom to, co chcą usłyszeć”), doskonale potrafił zorganizować pracę innych osób i dogadywał się z każdym pracownikiem agencji, poza działem kreacji. Ale z tymi dziwakami wcale nie musiał rozmawiać, bo to była działka Tymańskiego, dyrektora kreatywnego i copywritera, z wykształcenia polonisty, z usposobienia filozofa, introwertyka, acz ze sporą domieszką starannie zakamuflowanego choleryka. A Maciek z kolei nie chciał i nie umiał się dogadywać z nikim spoza swojego działu, bo twierdził, że barany i analfabeci go nie rozumieją, choć mówi po polsku. Do wyjątków należeli Agnieszka i jego dwaj wspólnicy. Ale wyjątki tylko potwierdzały regułę.

Sama idea stworzenia w Poznaniu dużej agencji reklamowej, mogącej powalczyć o poważne zlecenia z warszawskimi gigantami, wydawała się z początku nierealna. Podobnie jak objęcie stanowiska dyrektora kreatywnego przez copywritera; zwykle tę funkcję pełnili graficy. No i wybór miejsca na siedzibę – reprezentacyjna kamienica w samym centrum miasta, na Starym Rynku, której wynajem kosztował co miesiąc małą fortunę. Wszystko to były pomysły Maćka. Z początku i na pierwszy rzut oka wydawały się nierealne do przeprowadzenia, a w dodatku nieskuteczne, ale po jakimś czasie okazały się genialnymi w swej prostocie rozwiązaniami.

Poznań to miasto międzynarodowych targów. Dlatego agencja zaczęła swoją działalność od wykonywania zabudowy targowej, a ponieważ robili to szybko, dobrze i znajdowali się pod ręką – dzięki czemu wycięcie i wyklejenie dodatkowego logotypu nie stanowiło żadnego problemu – więc zleceń mieli co niemiara. Z czasem wydzielili część firmy, podpisali umowę z MTP i wynajęli biuro na terenie Targów, przenosząc tam cały dział produkcyjno-montażowy. To była ich pierwsza firma-cór-

ka, zarządzana przez Szymona Szubę, kolegę z osiedla, trzy lata młodszego od Andrzeja i Staszka, a cztery od Maćka.

Poznań – o czym już nie wszyscy wiedzą – to również siedziba wszystkich największych koncernów paliwowych, które zaczęły w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych budowę stacji benzynowych. Tu miały swoje biura ARAL, BP, ESSO. I to byli pierwsi klienci agencji. Oczywiście na początku nie obeszło się bez tarć, bo najpierw wygrali przetarg na wizualną identyfikację stacji sieci ESSO, a po roku to samo zrobili z ARAL-em. Rozpętało się małe piekło, ale mistrzowskie posunięcie Staszka pozwoliło zażegnać konflikt w zarodku; zaprosił ludzi z obu firm na potężny obiad do eleganckiej chińskiej restauracji i poinformował, że jako agencja reklamowa nigdy nie będą w tym samym roku pracować dla obu koncernów, a poza tym, że nie zamierzają nawet startować w konkursach organizowanych przez trzeciego z potentatów, czyli BP. Widmo wspólnego wroga doprowadziło do tymczasowego zakopania toporów wojennych, a sieci paliwowe znalazły sposób, aby obie mogły skorzystać na współpracy z agencją. Od tej pory FAST, tradycyjnie wygrywając kolejny konkurs ogłaszany przez jedną z firm, opracowywał dwuletni plan działań, który obejmował w pierwszym etapie kreację, a w drugim realizację, która odbywała się już przez współpracujące z agencją firmy-córki. I wszyscy byli zadowoleni.

No i jeszcze jedno – FAST sam wcielił w życie kilka oryginalnych pomysłów reklamowych Tzymańskiego. Dzięki temu mieli własne produkty, takie jak Rabatowa Książeczka Zakupów OKAZJA czy pisma KUP AUTO oraz KUP DOM. Oczywiście z czasem powstała nowa, osobna firma, której prezesem został szwagier Przemek Tzymańskiego, starszego brata Maćka. Bo w dużej mierze ich sukces zasadał się na ścisłych więziach łączących trzech głównych wspólników i firmy-satelity, więziach daleko wykraczających poza zwykłe relacje biznesowe. Przemek Tzymański był reżyserem dźwięku i właścicielem studia nagrań, ostatnio rozbudowanego o studio audio, a jego szwagier zarządzał projektami prasowymi agencji, działając pod szyldem zu-

pełnie innej firmy. Zabudowa targowa stanowiła wydzieloną jednostkę organizacyjną; poza tym posiadali także własną drukarnię na obrzeżach miasta.

No i mieli Maćka Tymańskiego, który oprócz swoich zajęć w agencji angażował się w hodowanie narybku. Jako wykładowca w szkole reklamy, która od ponad pięciu lat z powodzeniem działała w Poznaniu, chętnie przyjmował swoich uczniów na praktyki do FAST albo załatwiał im rozmowy wstępne w innych firmach, często kończące się propozycją pracy. Po praktykach ci, którym się spodobało – pod warunkiem że oni sami spodobali się swoim bezpośrednim przełożonym – zostawali na etatach. Obecnie ponad trzy czwarte ich wszystkich pracowników stanowili uczniowie Tymańskiego, wpatrzeni w niego jak w obraz i nazywający go bez cienia złośliwości Guru, zaś większość klientów agencji zatrudniała jego podopiecznych od ręki, nawiązując potem w naturalny sposób ściślejszą współpracę z samą agencją.

Cały układ działał bez najmniejszych zgrzytów i tarć. Oraz bez czujnego wzroku największych konkurentów, czyli dużych agencji warszawskich, tych sieciowych i tych zwykłych. Po prostu nikt ze stolicy nie wpadł na to, że takie interesy i na taką skalę można robić w Poznaniu. I bardzo to wszystkim w FAST odpowiadało.

Oczywiście mieli konkurencję. Kilka lokalnych agencji reklamowych czasami odbierało im jakiś kontrakt, oferując niższe ceny. Ale dysponowali dość pokaźnym portfelem własnych klientów, który co roku wzbogacał się o jedną lub dwie firmy. Nigdy o więcej – taki warunek postawił Maciek i bez sprzeciwów został on zaakceptowany przez dwóch pozostałych wspólników. Tymański po raz kolejny wykazał się niestereotypowym myśleniem i genialnie odwrócił kolejność: to nie agencja zabiegała o klienta, to klienci czekali, aż zwolni się dla nich miejsce. Z agencjami z Warszawy spotykali się czasem podczas ogólnopolskich przetargów i tu bywało różnie; czasami wygrywali pomysłami, czasami przegrywali brakiem kontaktów i dojść do światła mediów czy polityki.

To zresztą stanowiło największą i chyba jedyną słabość agencji FAST. Nie mieli dostępu do „wielkiego stołu” w stolicy, po pierwsze dlatego, że niespecjalnie o to za-

biegali, po drugie dlatego, że z warszawiakami jako poznaniacy dość trudno się dogadywali. Wyjściem mogłoby się okazać otwarcie oddziału w stolicy; myśleli o tym już od jakiegoś czasu, ale było to organizacyjnie wielce zawile przedsięwzięcie. Choć w ich zasięgu.

Tak więc, ogólnie, było nieźle.